

# Zawodnik

- 21 marca 2017
- przez [admin](#)

*jesień 1992/93, jesień 1994/95 i wiosna 1998/99*

*Macierzysty klub, w którym od dziecka chciałem grać, i któremu kibicowałem, nawet bywając na meczach wyjazdowych. To było moje marzenie zagrać w zespole seniorskim, co w sumie zdarzyło mi się w trzech podejściach. A to wzięło się stąd, że na tamte czasy GKS to był taki mannschaft, z tak topowymi piłkarzami, że nie było łatwo przebić się do kadry. Za moim pierwszym razem grali w Gieksie m.in. tacy ludzie jak Roman Szewczyk, Piotr Piekarczyk, Piotrek i Marek Świerczewski, czy mój rówieśnik - Adam Ledwoń. Takich zawodników wygryźć, to nie było łatwe, zwłaszcza że sięgnęli po wicemistrzostwo Polski. W szerokiej kadrze GKS-u byłem, ale właśnie ze względu na bardzo młody wiek i niesamowitą konkurencję byłem częstokroć wypożyczany do innych klubów. W każdym razie na starcie był to mój pierwszy kontakt z piłką w seniorskim wymiarze. Początki młodego Kościelniaka w szatni GKS-u to była niezła lekcja życia. To były inne czasy, istniało jeszcze coś takiego jak „fala”, ale nie powiem – zostałem w fajny sposób zaakceptowany. Podobnie było z trenerami, z których najbardziej zapadł mi w pamięć Austriak – Adolf Blutsch. Z racji bariery językowej niewiele z nami rozmawiał, komunikował się z nami głównie za pośrednictwem tłumacza, ale na pewno był to okres bardzo solidnej pracy. Pamiętam taki obóz w Straszęcinie, z trzema treningami dziennie. Oj, to była ciężka harówka.*

*wiosna 1993 - jesień 1994*

*Nie mogłem się przebić do składu GKS-u. Byłem w tzw. szerokiej kadrze, sporo czasu spędziłem na ławce rezerwowych, zaliczyłem nawet debiut w meczu z Zagłębiem Lubin. To był kwadrans szansy, którą dał mi jak pamiętam trener Piotr Piekarczyk. Natomiast w szerszej perspektywie lepiej było dla wszystkich, abym systematycznie grał, nawet o klasę niżej. Wypożyczenie do bytomskiej Polonii to było bardzo dobre rozwiązanie. Skorzystał GKS Katowice, bo miał mnie na oku, skorzystała Polonia zyskując młodego i ciekawego zawodnika do podstawowej jedenastki. No i skorzystałem ja! Grałem dużo i na dobrym poziomie ówczesnego zaplecza ekstraklasy. Trenerami bytomian byli wówczas – Jacek Góralczyk i Stefan Pietraszewski. W sumie to był fajny i pouczający moment w moim życiu. Wiele nowego trzeba było się nauczyć przechodząc z wieku juniora do seniorów. Solidnie trzeba się było przyłożyć, żeby wykazać swoją wyższość nad niejednokrotnie o wiele starszymi od siebie piłkarzami. W każdym*

razie, zapracowałem w trakcie rocznego wypożyczenia na zaufanie trenerów. Po tym czasie Polonia chciała mnie pozyskać definitywnie, ale jakoś nie doszło do porozumienia między klubami w sprawie tego transferu.

Po odejściu z Bytomia i ponownym, półrocznym pobycie w Katowicach zostałem tak trochę na lodzie. Polonia mnie chciała, ale tam zostać nie mogłem. GKS-ie zostałem przestawiony na boczny tor, albo raczej przesunięty do rezerw, które grały trzy, a może cztery klasy rozgrywkowe niżej. Nie da się ukryć, to był dla mnie dość trudny moment. Taka sytuacja mi nie odpowiadała, bo chciałem i czułem, że mogę grać wyżej. Sytuacja jednak nie była łatwa i komfortowa. Wystarczy powiedzieć, że prezesem GKS-u był wówczas Marian Dziurawicz, prowadzący klub twardą ręką. Zgody na opuszczenie GKS-u w każdym razie nie dostałem. Postawiłem wtedy sprawę jasno i twardo – jeśli nie ma dla mnie miejsca w pierwszym zespole, to biorę się poważnie za edukację, za studia. Zdałem egzaminy, dostałem się na katowicką AWF i tak zacząłem studia na pierwszym roku. Przez dwa, trzy miesiące nie trenowałem w ogóle, aż tu niespodziewanie otrzymałem telefon od trenera Pawła Kowalskiego, który pracował wtedy w Myszkowie. Trener pamiętał mnie jeszcze z końcówki mojego pobytu w Polonii Bytom, tam się zetknęliśmy po raz pierwszy. Padło pytanie, czy nie zechciałbym potrenować, pograć w Krisbucie, który na tamten czas był całkiem solidną piłkarsko firmą na poziomie dzisiejszej I ligi. Ucieszyłem się propozycji, podjąłem rękawicę, a przy tym fajnie się składało, że grało w Myszkowie wówczas kilku zawodników ze Śląska jak Rafał Witkowski, Robert Razakowski, Jacek Cisowski, Janusz Małek, czy Wojtek Korzan. Oni dojeżdżali na treningi i mecze, więc było mi o wiele łatwiej pod względem logistycznym. Trenerów – Pawła Kowalskiego i Krzysztofa Wolaka już znałem, ale przede wszystkim klub był fajnie poukładany. Może dojazdy i baza nie były komfortową sprawą, ale już na stabilizację finansową absolutnie nie można było narzekać. No i były cele sportowe! Dość powiedzieć, że po jednej z rund jesiennych plasowaliśmy się na pozycji lidera, byliśmy jednym z głównych kandydatów do awansu.

Po tamtej rundzie jesiennej zostawiliśmy z Krisbutem za plecami m.in. Ruch Radzionków, Dyskobolę Grodzisk Wielkopolski, Aluminium Konin i toruńska Elanę. Ekipa z małego Myszkowa była jedną nogą w ekstraklasie, co zostało zauważone przez włodarzy innych klubów, zespołów z wyższej półki. Taka sytuacja, mowie o naszym wysokim miejscu w tabeli zdarzyła się jeszcze w następnym sezonie. Wtedy faworytami ligi były zespoły Pogoni Szczecin i Petrochemii Płock. Trafił się wówczas taki mecz: Krisbut – Pogoń, w którym otrzymałem od trenera tzw. zadania indywidualne, czyli pilnowanie Olgierda Moskalewicza, skądinąd do teraz mojego serdecznego przyjaciela. Spisałem się solidnie, co nie uszło uwadze trenerów i działaczy szczecińskiego klubu. Niedługo

później do Katowic przyjechał z konkretną propozycją prezes Pogoni. Uzgodniliśmy warunki, do porozumienia w sprawie mojego przejścia doszły również oba kluby. A czemu tylko pół roku? Szczecinian prowadził trener Bogusław Baniak, u którego dość szybko wywalczyłem sobie miejsce w wyjściowym składzie. Zagrałem na starcie sześć, może siedem spotkań wliczając pucharowe, ale wszystko rozbiło się o kwestie finansowo-organizacyjne. To było tak, że moje, i nie tylko moje, przejście do Pogoni było powiązane z transferem Radka Majdana do Belgii. Prezes szczecinian nie czekając na pieniądze z tej transakcji już dokonał transferów do Pogoni, nie mając na nie pokrycia finansowego. No i w skrócie mówiąc stało się tak, że Radek wrócił z Belgii do Szczecina, z czego tam oczywiście wszyscy się ucieszyli. W końcu była to solidna bramkarska marka, a przy tym ikona Pogoni. W takich okolicznościach doszło do moich rozmów z trenerem Baniakiem z prezesem Pogoni, a ich efektem było nasze dżentelmeńskie rozstanie, kontrakt został rozwiązany. Wszyscy byli z mojej dotychczasowej gry w Pogoni zadowoleni, ja także nie miałem powodów do narzekań, ale wspomniane okoliczności zaważyły na dalszej przyszłości. Dysponentem mojej karty zawodniczej był właściciel Krisbutu – Krzysztof Czyż, który już wcześniej zastrzegł, że jeśli nie wpłynie za mój transfer pierwsza transza płatności, mam wracać. Wszystko więc działo się tak w zasadzie poza mną. Szkoda, że tak się to potoczyło. Szczecin bardzo mi się podobał, fajnie się w tym miejscu zaaklimatyzowałem, świetnie zostałem przyjęty, a „na pamiątkę” pozostała mi nadana właśnie w szatni Pogoni ksywka „Grundol”, która ciągnęła się za mną przez długie lata, a co wiązało się z moim pochodzeniem ze Śląska.

wiosna 1998 - jesień 1998, jesień 1999 i 2001 - jesień 2002

Na to, że znalazłem się w maleńkich Wronach via Myszków, wpływ miały moje krótkotrwałe występy na Zachodnim Pomorzu. Swoje zrobiły także przychylne dla mnie recenzje ze strony trenera Baniaka, po moim rozstaniu z Pogonią. Nie zniknąłem jak to się dziś mówi „z radarów”. Byłem obserwowany przez działaczy i trenerów z innych klubów. W tzw. międzyczasie odbył się w Koninie taki pokazowy test-mecz kadry dowodzonej przez selektonera Janusza Wójcika. To był taki zarządzony przez trenera Wójcika przegląd kadr z I ligi, czyli aktualnej ekstraklasy oraz jej zaplecza. I tak jako gracz drugoligowego Krisbutu trafiłem do tego drugiego zespołu, złożonego z zawodników wyróżniających się na tym poziomie rozgrywkowym. Na trybunach stadionu w Koninie pojawiło się sporo menadżerów, właścicieli klubów itd., a my – drugoligowcy sprawiliśmy niespodziankę pokonując pierwszoligowców, z kadrowiczami w składzie, 3:1. Coś tam włożyłem w to zwycięstwo, bo chyba tylko we trzech zagraliśmy w naszej drużynie na dystansie pełnych 90-ciu minut. Szansę pokazanie się w pełni wykorzystałem, gdyż jeszcze dobrze nie zdążyłem opuścić boiska, a już była gotowa propozycja z Amiki. Nie będę

„ściemniał”, otrzymałem ją od powszechnie znanego wtedy, i nie tylko wtedy, Ryszarda Forbricha. Miałem jeszcze dwie inne oferty, ale szczerze mówiąc – propozycjom płynącym z Wronek się nie odmawiało. Klub miał swoją markę i renomę wśród piłkarzy w naszym kraju. W każdym razie oferta Amiki była i ciekawa, i konkretna. A same Wronki odbierałem jak najbardziej pozytywnie. Mieszkałem na osiedlu z większością piłkarzy Amiki, była ze mną rodzina, bez której raczej nigdzie się nie ruszałem. W każdym razie, ja nie miałem kłopotu z syndromem „małego miasteczka”, kto chciał – mógł mieszkać np. w Poznaniu. Sam zespół także budził pozytywne odczucia, w końcu grało w nim wielu topowych polskich piłkarzy jak na tamte czasy. A ja? To był po prostu kolejny klub, w którym starałem się zademonstrować solidną i rzetelną pracę. Zagrałem w Amice ponad 80 spotkań na najwyższym szczeblu rozgrywkowym, i to na ogół na pełnym dystansie, co w przypadku obrońcy ma swoją wymowę. To nie jest np. 50 kwadransowych „epizodów”, jak to czasem bywa z napastnikami. Miałem swój wkład w trzykrotne zdobycie Pucharu Polski, dwa razy sięgnęliśmy po Superpuchar. Dobrze wykorzystałem swój optymalny piłkarsko wiek. Stopniowo i pomału starałem się swoje piłkarskie marzenia spełniać, stąd nie zapomnę pierwszego Pucharu Polski zdobytego z Amiką. Trofeum i medale wręczał nam po meczu finałowym w Poznaniu prezydent RP – Aleksander Kwaśniewski. Oczywiście miałem przed sobą kolejne cele i marzenia, ale to był chyba pierwszy taki moment w mojej karierze, kiedy mogłem sobie z czystym sumieniem powiedzieć – warto było!

Tu trafiłem na rok do dobrze już sobie znanego trenera Krzysztofa Wolaka, który wpierw był w GKS-ie asystentem, a potem objął bełchatowian samodzielnie. Trener mnie znał, śledził moje dokonania, także te z Wronek, a celem stojącym przez zespołem było wywalczenie awansu do ekstraklasy. Nie udało się, czego żałuję. Natomiast absolutnie nie żałuję ruchu w tamtym kierunku. Mam fajne wspomnienia stamtąd. Fajny obiekt, fajni ludzie, z którymi do teraz utrzymuje kontakt.

Niby tylko pół roku, piętnaście meczów i oficjalnie jeden gol. Ale od razu dementi – naprawdę to były dwa gole! Ten jedyny oficjalnie zdobyty na ekstraklasowym poziomie widnieje w moich statystykach personalnych, ale był jeszcze drugi w Pucharze Polski! A warto przypomnieć, że właśnie wtedy doszliśmy z Górnikiem do samego finału rozgrywek, w którym ulegliśmy w Warszawie stołecznej Polonii. A ten jedyny ekstraklasowy gol padł na inaugurację rundy wiosennej. Strzeliłem go na stadionie przy Roosevelta w meczu przeciwko Śląskowi Wrocław, po stałym fragmencie gry, z którego dośrodkowywał w pole karne Michał Probiez. A dalej uczciwie powiem o tym голу tak - bo różne wersje krążyły np. takie, że był to ćwiczony przez nas element - nie, nie ćwiczylismy tego wcale! Michał zawsze charakteryzował się sprytem. Zanim wrocławianie ustawili się w

polu karnym, on dorzucił piłkę w szesnastkę, ja nadbiegłem i uprzedziłem kryjącego mnie przy stałych fragmentach Marcina Wasilewskiego. Gdzieś w archiwach mam takie zdjęcie tej sytuacji, na którym widać wysoko uniesioną nogę Marcina i moją głowę przy piłce. Było trochę w tym szczęścia, ale wyszła z tego bardzo ładna bramka. Wygraliśmy 2:0. To był kolejny niezły dla mnie okres. Prawdę powiedziawszy spełniłem taki swój kolejny cel, gdyż zawsze chciałem grać w Górniku Zabrze. W końcu jest to zasłużony klub dla polskiej piłki, klub ze Śląska i klub wielce utytułowany. Trafiłem do Zabrza na półroczne wypożyczenie w trudnym dla Górnika momencie. Warunki organizacyjne i finansowe w porównaniu do Wroniek były mizerne, ale podszedłem do sprawy bardziej ambicjonalnie. Swój zakładany cel w Zabrzu osiągnąłem. Wywalczyłem miejsce w podstawowym składzie, zagrałem dużo spotkań na niezłym poziomie, a i Górnik chciał, abym dalej tam pozostał. Po meczu wygranym przez zabrzezan z Amiką, pamiętam to do dziś, podszedł do mnie kierownik drużyny z Wroniek i powiedział krótko – nie ma takiej opcji, żebyś do nas nie wrócił w najbliższym „okienku”. No i wróciłem do Wielkopolski na kolejne półtora roku.

wiosna 2003 - wiosna 2005

Tam trafiłem w sytuacji, gdy w Amice było bardzo dużo zmian. Przyszło wielu doświadczonych graczy jak m.in. Piotrek Mosór, czy Jurek Podbrożny, zrobiło się ciasno w kadrze. A ja akurat otrzymałem ciekawą propozycję od trenera Jacka Zielińskiego. Co prawda wymagało to przenosin na drugą stronę kraju, ale to nie był dla mnie problem. I tak zawsze i wszędzie podążałem z rodziną. Jak we wcześniejszych przypadkach, nie żałuję podjętej decyzji, zwłaszcza że trafiłem pod skrzydła bardzo fajnego szkoleniowca i człowieka, który potrafi z zawodnikami rozmawiać. Uważam, że zrobiliśmy w Łęcznej kawał dobrej roboty. Najpierw był awans, a później w bardzo dobrym stylu utrzymaliśmy się. Jacek Zieliński bardzo udanie wprowadzał swoje elastyczne metody szkoleniowe, które były częstokroć z zawodnikami dyskutowane. Graliśmy dość nowoczesny futbol, która „nam leżał”. Każdy na boisku wiedział co i jak ma robić, nie było żadnych niedomówień. A to razem wzięte przynosiło efekty. A sam osobiście już po niedługim pobycie w Górniku zostałem wybrany kapitanem drużyny, co świadczy o udanej aklimatyzacji w klubie i w mieście oraz akceptacji zespołu. Skończyło się jednak dla mnie nieciekawie, co nastąpiło wraz ze zmianą trenera. To co dobrze funkcjonowało przy Jacku Zielińskim przestało działać przy Bogusławie Kaczmarku. Nasza współpraca już od początku nie układała się tak, jakbym sobie tego życzył, a i trener Kaczmarek zapewne również miał inne wyobrażenia. Były między nami rozbieżności. Nie miałem kontuzji, osiągnąłem optymalną formę, byłem podstawowym zawodnikiem, zbierałem dobre noty od dziennikarzy, a trener tymczasem

zdecydował o przesunięciu mnie do rezerw. W miejscowym środowisku odebrano to ze zdziwieniem, czemu wyraz dawali w swoich artykułach dziennikarze. Równie zdziwiona była drużyna. Mimo upływu lat nie chce do tego wracać i wskazywać, w czym tkwił problem. W każdym razie, przyjąłem decyzję godnie i do końca rundy występowałem w drużynie rezerw.

jesień 2006 - wiosna 2008

Znów rzuciło mnie na kolejny kraniec Polski. Gdynia – piękne, nadmorskie miasto ze świetnym klubem i fantastycznymi kibicami. A propos fanów, nigdy i nigdzie nie miałem z nimi żadnych problemów, jako ...zawodnik (śmiech). Wszędzie byłem przez kibiców szanowany, co pewnie brało się stąd, że gdziekolwiek nie grałem, wszędzie pełniłem rolę takiego „żołnierza” – człowieka od ciężkiej i żmudnej boiskowej pracy. Mało kto widział Kościelniaka strzelającego bramki, znacznie częściej gościa z poobijaną twarzą, czy pozszywanymi lukami brwiowymi. A to też budzi szacunek u kibiców. W Gdyni trafiłem na zespół zaraz po awansie i w trakcie przebudowy. Pierwszym trenerem był Mirosław Dragan, ale w sztabie ważne miejsce zajmował Wojciech Wąsikiewicz, który swego czasu był szkoleniowcem we Wronkach. Znał mnie, wiedział na co mnie stać, co w sumie legło u podstaw mojego kontraktu z Arką. Jak praktycznie każdy beniaminek w pierwszym sezonie mieliśmy jasno określony cel – utrzymanie, co udało się zrealizować. Wyniki były różne, oczekiwania może i sięgały czegoś więcej, ale w pierwszym okresie mojej gry w Arce osiągnęliśmy przyzwoity pułap. Potem doszło do zmiany trenerów, po Draganie i Wąsikiewiczu nastąpił czas Wojciecha Stawowego. Bardzo solidny, charyzmatyczny szkoleniowiec, przy którym zawodnicy czują się bardzo dobrze, ma z nimi dobrą więź, dba o swoich graczy. Po prostu - leży mu na sercu dobro zespołu. Sam tego doświadczyłem, gdy złapałem poważną kontuzję w momencie, w którym końca dobiegał mój kontrakt. Na dwa, trzy dni przed zakończeniem obowiązywania umowy złamałem nogę. To był pomysł trenera Stawowego, aby przedłużyć ze mną kontrakt o dalszych dwanaście miesięcy tylko po to, abym mógł się porządnie wyleczyć i rehabilitować. Za taką postawę – czapki z głów. Na podstawie swojej kariery zawodniczej oraz krótkiej pracy szkoleniowej mogę powiedzieć, że jakoś tak się składa, że miałem i mam szczęście trafić na fajnych ludzi.